

są wyrównane. Można odnieść wrażenie, że na obecnym etapie swojego rozwoju, na continuum rozpiętym pomiędzy Dickiem, który całe życie pisał jedną książkę, a Lemem, który zawsze pisał inną książkę niż wcześniejsze, Szyda przesunął się nieco w stronę Dicka.

Zwłaszcza że to Dick, bardziej niż Lem, mógł napisać do kosmitów słowa, jakie przytoczył Szyda na koniec swego zbioru:

Deum Creatorem venite adoremus.

Przybądźcie, uwielbiamy Boga Stwórcę.

**Krzysztof Głuch**

## Nic nie żyje trwale w słońcu

Philippe Ariès

**Człowiek i śmierć**

przełożyła Eligia Bąkowska

Wydawnictwo Aletheia

Warszawa 2011

Człowiek i śmierć, obok Historii dzieciństwa, jest najważniejszą książką w dorobku naukowym Philippe'a Ariès'a, francuskiego historyka i historiografa – eseisty, związanego z grupą „Annales”. Dzisiaj jest pozycją klasyczną w pełni tego słowa, tak ze względu na bogactwo materiału badawczego, jak również czas powstania. Pierwsze wydanie francuskie ukazało się w roku 1977, tedy książka Ariès'a stała się z czasem już nie tylko książką o historii, ale sama w sobie książką historyczną. Jeszcze tylko Śmierć w cywilizacji Zachodu, potężne dzieło Michela Vovelle'a – nie napisano od tego czasu książki, w której ewolucję społecznego i kulturowego stosunku wobec śmierci potraktowano by z równą pieczołowitością, analityczną i interpretacyjną, jak to ma miejsce w tych dwóch wypadkach.

Wyjściowa teza Philippe'a Ariès'a jest następująca: zmiany w kulturowej postawie człowieka wobec śmierci następują tak wolno, że nie można ich uchwycić naocznie, są one niedostrzegalne nie tylko z punktu widzenia jednostkowo pojmowanego życia. To, co jest wynikiem niedostrzegalnej, acz postępującej ewolucji, zdaje się niezmienną i odwieczną tradycją. Autor książki odwołał się do metafory długich pasm czasowych, wedle której zmiany historyczne dokonują się, +

a zatem możliwe są do prześledzenia, w panoramie o wiele dłuższej, niż to ma miejsce w ciągu funkcjonowania jednego pokolenia (jednego biologicznego życia). Ariès analizuje wszelkie możliwe materiały piśmiennicze, od testamentów i inskrypcji nagrobnych po literaturę piękną danego czasu i ponad tym wszystkim w sposób subiektywny i intuicyjny, czego zresztą nie ukrywa, stara się odkryć jakby podskórnie tkwiące w zbiorowej świadomości (czy raczej nieświadomości) uczucia dotyczące śmierci oraz związane z nią tradycje. Zastrzega przy tym, że błędem byłoby sądzić, iż kultura wysoka odrywa się od czasu i miejsca, w których dane było zaistnieć jej wytworom, i w związku z tym nie może służyć za świadectwo równe temu, jakie stanowi dla historyka na przykład dokument urzędowy. Żaden przejaw myśli ludzkiej nie powstaje w całkowitej izolacji od zewnątrz – byłby wówczas kompletnie niezrozumiały. Wielkie dzieło zawsze jest balansem – między tym, co nowe, a tym, co zastane. Ariès garściami czerpie z testamentów, pism spadkowych, urzędowych dokumentów, ale sięga też do klasyki literackiej, na czym zyskuje tylko atrakcyjność jego książki.

Człowiek wczesnośredniowieczny (do około XII wieku) widział swoją śmierć całkowicie oswojoną. Ludzie umierali w pełni świadomi tego faktu i przygotowani, tak pod względem czysto duchowym, jak też ze względu na konieczny ceremoniał. Śmierci czekali w pozycji leżącej, w łóżku, z pełną wiedzą, że nadchodzi. Do sypialni umierającego mógł wejść każdy, była to uroczystość publiczna, łącznie z udziałem dzieci, a umierający stawał się głównym aktorem i reżyserem. Musiał więc zachowywać względną trzeźwość umysłową, aby nie uchybić w niczym obrzędowemu prawu. Od tego przecież zależała jego przyszłość – dla człowieka średniowiecza śmierć była w końcu przejściem do lepszego świata. Uroczystości związane z umieraniem były stosunkowo skromne, raczej oficjalne. Śmierć była czymś

powszechnym. Między żyjącymi i zmarłymi nie było praktycznie żadnych więzi emocjonalnych. Cmentarze sytuowano zrazu poza murami miejskimi, z dala od świata żywych. Dopiero z czasem zaczęło się to zmieniać – tak bardzo, że będą to zmiany dostrzegalne dalekowzrocznym i wszechobejmującym okiem historyka.

Początek tak widzianych zmian następuje około XII wieku. Umierający zaczyna ulegać ujednostkowieniu. Człowiek wcześniejszy w większej mierze był jeszcze członkiem zbiorowości, która w sposób bierny, całkowicie podporządkowany poddawała się śmierci, ograniczając się do bezwarunkowej, akceptowalnej przez każdego celebry. Aby dostąpić spotkania z Bogiem, należało na łożu śmierci należycie się zachować – należycie, to jest według ścisłych reguł. Innymi słowy, można było być w ciągu życia nikczemnikiem, a odpowiednia, czyli dobra śmierć równoważyła każdy występki. Nie było to sprawiedliwe, z pewnością nie było wychowawcze. Zwracał na to uwagę Kościół.

Zaczął się to zmieniać za sprawą instytucji Sądu Ostatecznego. Zindywidualizował on każdą biografie i nie kończyła się już ona wraz z chwilą śmierci. Sceneria pozostała w zasadzie ta sama. Według świadectw ikonograficznych Sąd Ostateczny odbywał się przy łożu konającego. Śmierć stała się bardzo ważnym wydarzeniem, bo przyszłość nie była już oczywista, nic się nie domykało w sposób łatwy i optymistyczny. W głowie umierającego kłębiły się, z jednej strony, żal za tym, co traci, z drugiej – chęć zapewnienia sobie życia pozaziemskiego. Trwała prawdziwa walka sił piekielnych i boskich, a wszystko przy świadkach. Należało dokonać wyboru. Umierający podsumowywał oto i ważył całe swoje życie, rozpatrywał wartości. Philippe Ariès stwierdza, że właśnie śmierć okazywała się tą częścią życia, w której człowiek zyskiwał największą świadomość swego istnienia. Opowiedzenie się przez umierającego po stronie boskiej wiązało

się z wyzbyciem jakichkolwiek emocjonalnych więzów z tym, co ziemskie, także luzowało więzy z bliskimi, zresztą obustronnie. Rodzina nie odczuwała uczuć tak silnie pogłębionych, jak to będzie miało miejsce w przyszłości. Na pogrzeby spędzano zawodowe płaczki, przepłaconych żałobników, dzieci z sierocińców.

Okolo XVIII wieku śmierci poczęto przydawać zupełnie nowych sensów. Zyskiwała wymiar egzystencjalny. Umieranie, nadal w otoczeniu świadków, stało się traumatycznym przeżyciem dla umierającego, ale także – to nowość – dla najbliższego otoczenia, dla rodziny. Ludzie przestali dostrzegać, przeżywać wyłącznie własną śmierć. Przejście do lepszego świata przestało być wystarczającym usprawiedliwieniem straty. Śmierć stała się dramatyczną okolicznością, uderzającą w coraz silniej związaną emocjonalnie wspólnotę rodzinną, co kiedyś nie było oczywiste. Owa zmiana w relacjach rodzinnych widoczna jest nie tylko w sferze emocjonalnej, ale także w tradycji testamentów. Dawniej umierający decydował o wszystkim samodzielnie, nie wierzył swoim bliskim (ani duchowieństwu), nakazywał tedy upublicznić swoją ostatnią wolę, na przykład wyrzyszy istotną część tekstu na kamieniu ściennym kościoła, niby dla pamięci potomnych, a w istocie ku przestrodze dla wiarołomstwa współczesnych. Wiek XVIII, a jeszcze bardziej XIX skorygowały tę niechwalebą tradycję. Zacieśnianie się relacji rodzinnych spowodowało, że umierający nie decydował już o wszystkim, część aktywności zaczęła spadać na rodzinę, przy pełnym zaufaniu umierającego. Uroczystości pogrzebowe przepełniły się autentycznym żalem, płatni żałobnicy nie byli już konieczni. Cmentarze, niegdyś zakładane poza siedzibami ludzkimi, pełniące niechlubną funkcję rezerwuarów na ludzkie odpadki, pomijane przez żywych jako rzekome siedlisko zarazków, zabójczych choróbsk i miazmatów, teraz, to jest w XIX wieku, stały się przybytkami pamięci i kul-

tu tych, którzy odeszli. Specjalnie projektowane, stawały się pożądaną publicznie instytucją. Ciekawe, że ten romantyczny z genezy, jak nie bez powodu się wydaje, kult cmentarzy prawdziwych propagatorów zyskiwał pośród myślicieli pozytywistycznych, według których cmentarz miał pozostawać nieodłączną częścią organizmu społecznego, źródłem pamięci i tradycji... I tym dla wielu cmentarz pozostaje po dziś dzień. To miejsce spotkań rodzinnych, realizujące coś w rodzaju świeckiej wiary w ludzką nieśmiertelność.

Ewolucja następowała bardzo powoli, ale zmieniło się wszystko. Niegdyś najważniejsza była dusza i jej zbawienie, ciało pozostawiano samemu sobie, kości ludzkie walały się po kaplicznych kątach. Tymczasem współczesne wizyty na cmentarzach służą spotkaniu ze zmarłym w pojęciu duchowo-cieleśnym. Na cmentarzu wspomina się osobę. Nowoczesna tanatokosmetologia i oczekiwania bliskich zmarłego nakazują przywrócić jego ciało do wyglądu, jaki miało za życia. W czasie swej ostatniej drogi winien udawać żywego. Czy to kwestia od dawna już diagnozowanej społecznej tabuizacji śmierci, dostrzeganej zwłaszcza w kulturach wysoko konsumpcyjnych i zlaicyzowanych? A może prosty do wytłumaczenia, szczerzy i dojmujący żal po nieodwracalnej stracie najbliższego? Trudno rozstrzygnąć. Z całą pewnością umieranie stało się w XX wieku doskonale prosperującym przemysłem, uległo silnej profesjonalizacji. Dzisiaj nie umiera się w domu, w otoczeniu rodziny. Umierać idzie się do szpitala, umieranie jest jakby chorobą. Umierający, niegdyś całkowity dyspozytor swojego życia i śmierci, obecnie staje się bezwolną materią ożywioną, poddaną beznamietnej, technicznej procedurze, pośród kabelków, monitorów z parametrami. Społeczeństwo broni się w ten sposób przed smutkiem, taka jest zgodna diagnoza socjologów, a rozwój technik medycznych pozwala umieraniem sterować. Oczywiście pytaniem pozostaje, czy to wynik znieczulicy bogaczącej +

się zbiorowości, nie chcącej burzyć sobie mitu wiecznego trwania w młodości i bogactwie, czy może kwestia pamięci o dwóch wielkich wojnach, które śmierć i pojęcia z nią związane poddały niejakej marginalizacji? Każda z odpowiedzi może być prawdziwa. Diagnoza Philippe'a Arièsa jest dla współczesności taka, że dzisiaj umiera się samotnie. Zastrzec wszakże trzeba, że jego obserwacje dotyczą głównie Europy Zachodniej i wyłącznie trendu przeważającego, nie wykluczają zachowań zupełnie innych, związanych z lokalną tradycją religijną i obyczajową. Życie wspólnot ludzkich jest w końcu nad wyraz wielorakie, a zadanie historyka polega na tym, aby w tych różnorodnościach odnaleźć prawidłowość, będącą specyfiką danego miejsca i czasu.

Czy nasz stosunek do umierania jest w jakiś sposób gorszy, bardziej nieetyczny od podejścia naszych przodków? Philippe Ariès przestrzega przed tego typu wartościowaniem, chociaż uciekanie przed śmiercią jest typowe wyłącznie dla czasów nam współczesnych, a w powszechnej opinii socjologów i psychologów ocena tego zjawiska kulturowego wydaje się jednoznacznie negatywna. Tak nam się wydaje, kiedy odwiedzamy cmentarze, podziwiamy stare mieszczkańskie groby z XIX i początku XX wieku, wspaniałe architektonicznie, pełne estymy dla zmarłych, którzy doczekiwali końca we własnych łóżkach, otoczeni kilkupokoleniowym wianuszkiem najbliższych. Jesteśmy przekonani, że tak było zawsze, a dopiero my, w pędzie materializowania wartości, zepchnęliśmy moralny obowiązek do poziomu praktycznego i towarowego. Tymczasem materiał zebrany przez francuskiego badacza pokazuje, że praktycznie od zawsze społeczne podejście do śmierci wzbudzało kontrowersje w następnych pokoleniach – stąd powolne, ale jednak postępujące, konieczne zmiany. Na przykład średniowieczny kult oddzielonej od ciała duszy skutkował tym, co dzisiaj uznalibyśmy za akt masowego bezczeszczenia

zwłok – zbiorowe groby, pozostawione samym sobie szkielety. Albo romantyczny kult zmarłego, naznaczony erotyzmem, dla nas ma konotacje wyłącznie nekrofilskie.

Być może to, co dzisiaj uznajemy w naszej kulturze odrzucenia śmierci za negatywne, przez późniejsze pokolenia zostanie ocenione inaczej, z dystansem, bezemocjonalnie, wieloaspektowo. Philippe Ariès przestrzega przed uniwersalizowaniem czasowym kategorii wartościujących, apeluje, by nie przydawać współczesnych norm emocjonalnych, duchowych, aksjologicznych dawnym czasom. Uwaga metodologiczna przedsięwzięta dla sprawiedliwego wglądu w przeszłość: dla nas – ku właściwej ocenie potomnych, a dla tych, którzy przyjdą później – aby i nas ocenili bez fałszywej miary.

**Adam Adamczyk**